

GASTON LEROUX.

BALA OO

11)

— Napewno trzeba będzie zabrać się krwią! — odezwał się z alkowy głos starej.

— No to co? — zapytał ze złością Hubert.

— Co? A to, że nie wiadomo, czy się uda, a napewno stracimy wszystko, czego tutaj dorobiliśmy się... a trzeba przecież myśleć o przyszłości Zoe... Tu nam niczego nie brak... a jeżeli was schwycą, to ja nie pociągnę więcej, jak dwa dni.

— Ty myślisz tylko o sobie — burknął Hubert —

no więc dobrze, nie będziemy o tem mówili więcej!

— Ja tego nie powiem! — oznajmił Szymon.

— Ani ja! — dodał Eliaz.

— A jeżeli będzie krew? — zapytała matka.

— No, to będzie — zakończył Hubert, zapalając fajkę.

W tej chwili za drzwiami odezwał się głos Zoe, która prosiła, żeby ją wpuścić.

— Wejź! — krzyknęła matka.

— Gdzie byłeś? — zapytał Hubert.

— Za drzwiami — rzekła Zoe — podśluchiwałam. Lepiej, że to byłam ja, a nie zandarmi...

I widząc, że podnosili już ręce, rzuciła pospiesznie:

— Może dobrze by było, gdybyście wzięli do tego Balaoo, jeżeli ma być krew! Zabierzcie go ze sobą.

— Mała ma rację! — rzekł Hubert.

— Trzeba pomówić o tem zaraz z Balaoo — do-rzucili tamci.

— To nie trudno — oznajmiła Zoe — jest teraz u siebie.

— Chodźmy tam!

— Chodźmy!

— Nie zostawiajcie mnie samej! — pisała stara.

— Interes najpierw! — odparł Hubert. — Nikt cię tu nie zje. W drogę Zoe.

— Oh, odzwierny mnie nie wpuści. Jestem bardzo źle z generałem Captain!

— W każdym razie, chodź!

Wzięli strzelby i wyszli zaraz wraz z Zoe. — Dziewczyna szła naprzód. Patryk widział ich cienie, zmierzające w stronę lasów.

Złaził z dachu i wrócił do domu wuja. Był tak strasznie zmęczony, że zasnął natychmiast. Tej nocy żadne hałasy nie przerywały mu snu.

ROZDZIAŁ X.

Tajemnica Czarnych Lasów.

O czwartej zrana Patryk zerwał się z łóżka. Ubrał się pociemku, żeby nikt nie wiedział o tem, że wstaje. Zobaczyć się z sędzią, a potem uciekać, oto, co trzeba było uczynić jak najspieszniej. Mniejsza o resztę, o konwenanse towarzyskie! Pośpiech go wytlómaczy! A pośpiech był konieczny. Słyszał jeszcze groźbę albinosów: „Zawsze będzie go można znaleźć jutro!” A przecież to „jutro” już nadeszło!... To — dzisiaj... Biedny Patryk zawiązał krawat krzywo. Skończywszy toaletę napisał parę słów do Coriolisa i Magdaleny i zostawił kartkę na stole w widocznym miejscu.

Gdy przybył do oberży, chłopak otwierał właśnie drzwi do stajni.

W tej chwili nadszedł Michał, konduktor omnibusu i udał się do małego kiosku, położonego w środku podwórza. Tam rozłożył na biurku księgę podróży. Patryk pośpieszył za nim i zamówił dla siebie miejsce wewnątrz omnibusu. Później, już daleko za miastem, można będzie wejść na imperial.

Zapisawszy się, uspokojony, począł szukać sędziego. Mały chłopak, przecierając sobie oczy, objaśnił go, że p. de Meyrentin znajduje się w sali gospody. Patryk udał się tam, przypuszczając, że zastanie sędziego przy śniadaniu, ale ujrzał go na szafie, stojącej obok drzwi wchodowych. Sędzia siedział na czworakach i badał wierzch szafy. Patryk nie tracił czasu na wyrażanie zdziwienia i zawołał od progu:

— Panie sędzio, miał pan rację, jest współnik!

— A widzi pan — zaśmiał się drwiąco sędzia — że jest! I to jaki! Właśnie jestem na jego śladach. Jak już mówiłem, morderca wszedł przez drzwi... a że nie mógł tego uczynić dołem, więc wszedł górą. Morderca, czyli ten, którego nazywamy współnikiem, jeżeli pan to woli, a którego ja uważam za narzędzie w rękach trzech braci, przesłiznął się nad naszymi głowami, wlaź na tę szafę i przyczaił się tutaj, nie zauważony przez nikogo.

— Jak pan widzi, prowadzę dalej śledztwo na wspak i to, czego nie można znaleźć tam na dole, odkrywam w górze. Na wszystkich tych meblach są ślady mordercy. Są tu dwie szafy i kredens, po nich morderca przechadzał się, skacząc z jednego mebla na drugi z niesłychaną zręcznością. A teraz niech mnie pan dobrze wysłucha!

P. de Meyrentin, żeby udogodnić rozmowę, poprosił Patryka, by stanął na krześle, sam zaś usiadł na szafie, spuszczać nogi.

— Ale to ja chcę prosić, żeby pan posłuchał — ośmielił się wtrącić Patryk.

— Chce mnie pan słuchać, czy nie? — krzyknął p. de Meyrentin, uderzając w szafę nogami.

— Więc niechże pan słucha, panie Saint-Aubin, pan jeszcze nie może wszystkiego rozumieć, tak — może wydaje się panu śmiesznem, że siedzę na tej szafie... ale w życiu, panie, niema nic śmiesznego, nic dziwnego, wszystko jest naturalne i wszystko wiąże się ze sobą... Milcz pan! Milcz pan! Słuchaj pan mnie! Chcę panu zadać jedno pytanie niesłychanej wagi, niech pan uważa: niesłychanej wagi. A więc niech mi pan odpowie, panie Saint-Aubin, czy morderca... tak... czy jest pan pewny... niech się pan nie spieszy, niech się pan zastanowi! Czy jest pan pewny, że go pan słyszał?

— Jakto, czy go słyszałem?

— Niech się pan zastanowi, drogi panie, niech pan sobie dobrze przypomni... Może to było złudzenie słuchu... Więc niech mi pan powie, czy pan jest pewny, że on mówił?...

— Ależ tak! Ależ tak!... Ależ tak!...

— Ach, to szkoda! To wielka szkoda!

— A co pan przypuszczasz?

— Już teraz, jeżeli on mówi, nic nie przypuszczam.

— Mówi pan zagadkami, panie sędzio — rzekł Patryk. — Nie rozumiem pana! Ja zaś opowiem panu coś zupełnie jasnego i zrozumiałego. Wczoraj wieczorem widziałem, jak siostra Vautrinów naprawiała skarpetkę, która była zacerowana w taki sam sposób, jak ta, której odbicie pan teraz bada. Chciałem ją wziąć, ale mała uciekła.

— A! A! to bardzo ciekawe! — rzekł p. de Meyrentin, poprawiając binokle i spoglądając z góry na młodego człowieka. — Więc uciekała?

— Tak, nie mogłem jej dogonić.

— Więc znała wartość tej skarpetki.

— Wątpię, bo cerowała ją otwarcie. Uciekła do siebie do domu i tam pokazała skarpetkę matce, a ta powiedziała dziwne zdanie, które jednak zapamiętałem, bo później powtórzyli je bracia: „To nie złotogłów, to ryba!”

— To nie złotogłów, to ryba! — krzyknął sędzia, zeskakując jednym susem na podłogę i zbliżając się do Patryka. — Pan to słyszał? Pan? U Vautrinów? Więc pan był u nich? I żyje pan dotąd?...

— Byłem na dachu, panie sędzio.

— A! Uważa pan, że mój system badania jest dobry? Niechże mi pan opowie, co pan widział, słyszał, myślał, czuł, odgadywał — wszystko...

Patryk opowiedział wszystko ze szczegółami. Sędzia notował pospiesznie. Nie przerwał mu ani słowem, aż do chwili, gdy Patryk wspomniał o zamachu, jaki zamierzali wykonać bracia. Wówczas p. de Meyrentin nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swej radości: „No, nareszcie! Można będzie schwycić tych łotrów! Złapać na gorącym uczynku! Najwyższy czas na to! I tak się to prosto zrobi! Urządzi się zasadzkę i wyłapie się ich wszystkich razem ze współnikami. Nareszcie będzie można oczyścić okolicę!” P. de Meyrentin był tak ucieszony, iż, zominając o swej urzędowej powadze, uściskał Patryka.

— I mówi pan, że nazywali współnika po imieniu?

— Tak... mówili... coś, coś, jak... Bilbao...

— Bilbao! To jakieś hiszpańskie imię. No, wreszcie zobaczymy! Ale przede wszystkim, panie, ani słówka o tem nikomu, absolutnie nikomu! Jesteś pan bohaterem! Tak, bohaterem na dachu! I to na dachu braci Vautrin! Ale, ale! Zdaje się, że ten zamach nie odbędzie się tak zaraz. Muszą mieć czas, żeby się przygotować; ja go także potrzebuję. Nie może mi pan nic powiedzieć, co by wyjaśniło termin napadu?

— Myślę, że skoro poszli w nocy po współnika, to musi się im spieszyć!

— Naturalnie! Naturalnie! W takim razie to będzie dzisiaj! Wielka szkoda, że pan nie mógł słyszeć całej rozmowy! Trzeba by odnaleźć tego małego, który był u Mateusza... ani słowa Mateuszowi! To nieszczęście, że pan nie zapamiętał imienia tego drugiego, któremu mały zwierzał się...

— Zaraz... zaraz... — zawołał nagle Patryk. Hubert nazywał go „Tyką”.

— Tyka! (p. de Meytrin podskoczył przy tem, twarz jego stawała się coraz radośniejsza) Tyka!

— Pan go zna? — zapytał Patryk.

— Tak, trochę... — odparł wymijająco sędzia... A teraz żegnam pana, panie Saint-Aubin, nie mam do stracenia ani chwili.

— I ja również żegnam pana, panie sędzio i czasu mam nie więcej od pana. Po tem, co zaszło wczoraj z tą dziewczyną, nie mogę tu pozostać. A ponieważ kolej nie służy mi, jadę omnibusem.

— A! to już postanowione? — zapytał p. de Meyrentin ze zdziwieniem.

— Tak, idę zająć swe miejsce.

Sędzia zdawał się zastanawiać.

— To dobrze — rzekł — więc dowidzenia!

I uściśnął dłoń Patryka. Ale ten zatrzymał go na chwilę.

— Pan, zdaje się, zrozumiał to dziwne zdanie: „To nie złotogłów, ale ryba!” Może pan mi powie, co to znaczy?

— O, to sprawa osobista! Do widzenia!

Patryk pożegnał go i patrzył za nim. Ciągłe nie był zupełnie pewnym, czy sędzia nie drwi sobie z niego. Kazał sobie podać garnuszek mleka, wypił je w zamyśleniu i wyszedł na podwórze. Nadchodziła godzina odjazdu. Ale Patryk zauważył, że omnibus nie był jeszcze gotów do drogi. Wyciągnięto go na podwórze, ale konie nie były zaprzężone, prócz tego omnibus stał na trzech kołach. Patryk dowiedział się od zirytowanych podróżnych, którzy się już zeszli, że konduktor w ostatniej chwili zauważył, że czwarte koło było zepsute. Zaniesiono je więc go kołodzieja, który obiecał naprawić je w godzinę, gdyż trzeba było dać trzy nowe sprychy. Konduktor przechadzał się po podwórzu, był wściekły i ledwie raczył odpowiadać na zapytania podróżnych.

Patryk zwrócił się do niego bardzo grzecznie, zapytując, czy napewno za godzinę można będzie odjechać. Odpowiedział mu w taki sposób, iż młody człowiek poczuł się obrażonym i przygnębionym.

Ostatecznie pobyt w Saint Martin-des Bois do ostatniej chwili był pełen przykrych niespodzianek. A tyle się po nim spodziewał.

Żeby zabić czas, chciał zobaczyć się z p. de Meyrentin, ale dowiedział się od Roubiona, że sędzia poszedł obudzić p. Godefroy, zarządzającą pocztą i telegrafem.

Wreszcie godzina upłynęła i pięciu podróżnych, oczekujących z niecierpliwością na możliwość odjazdu, dowiedziało się, że okazała się potrzeba gruntowniejszej reparacji koła i że trzeba czekać jeszcze godzinę. Wówczas zdecydowali się z powodu późnej pory odłożyć podróż na kiedy indziej i opuścili podwórze, głośno wyrażając swe niezadowolenie.

Patryk, zrażony przeciwnościami, które napotykał na każdym kroku i bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany opuścić miasto jak najprędzej, widząc, że na omnibus niema co liczyć, postanowił biedz na dworzec, gdzie jeszcze mógł zdążyć przed odejściem pociągu.

Przybywszy na stację, pierwszą osobą, jaką ujrzał, była Zoe, która zdawała się na niego czekać.

Po tem, co zaszło poprzedniego dnia wieczorem, młody człowiek był pewny, że Zoe, nie widząc go w domu wuja, uprzedziła o tem braci i była tu przez nich wysłana dla dopilnowania jego odjazdu. Bracia zaś tymczasem przygotowują gdzieś dalej na torze kolejowym zamach. Ostatecznie nie wyjaśniono jeszcze tajemnicy pierwszego zamachu, ale sędzia badał miejsce, gdzie go dokonano i odnalazł ślady, odpowiadające tym, które znaleziono na suficie oberży; dlatego też ten zacny człowiek, dowiedziawszy się o projekcie wyjazdu Patryka, wyraził zdziwienie, że młody człowiek nie obawiał się podróży koleją.

To też Patryk, poczuwszy na sobie przenikliwy wzrok Zoe, powrócił do oberży w stanie najwyższego przygnębienia. Jakżeż tęsknił teraz za swym cichym kątem w biurze przy ulicy Ecu, za swą pracą i równym życiem! Przysięgał sobie, że więcej go nie opuści, chyba wyjedzie, żeby się ożenić i to jeszcze pytanie!

Znowu minęła godzina, podczas której Patryk napróżno szukał p. de Meyrentin.

Wreszcie przyniesiono naprawione koło i jednocześnie na podwórzu oberży zjawili się nowi podróżni, którzy tylko co wysiedli z pociągu i skorzystali z opóźnienia wyjazdu omnibusu, żeby tego samego dnia odbyć podróż do Chevalet.

Tych nowych podróżnych było czterech!

Nigdy nie widziano na podwórzu oberży pod „Czarnym słońcem” podobnego przesiadania z pociągu na omnibus. Patrykowi nie przyszło do głowy